

# UCZTA MORDERCÓW

JAN SZCZEPKOWSKI

Zdaje się, że autorowi chodziło o modny temat konfliktu pokoleń, młodych i starych. Tak by wynikało z pierwszej części spektaklu. Sytuacja jest właśnie „pokoleniowa”: ojciec i matka przeciw młodzieży, córce i służącej. Młodzież ma kłopoty miłosne — córka z podstarzałym dziennikarzem, służąca z panem domu. Obydwie zaszły w ciążę, ale córka sobie poradziła, a służąca urodziła. Ścisłej mówiąc konflikt dotyczy tu nie tyle pokoleń, co płci. Bo mężczyźni są egoistyczni, głupi i bez charakteru, a kobiety o wiele bystrzejsze, wrażliwsze i bardziej doświadczone. Gdyby mężczyźni nie byli tacy, jakimi są — nie byłoby konfliktu.

Tak czy inaczej — początek zapowiada się wyraziście. Jakaś taka rodzinka dzisiejszych „Duiskich”. Ojciec — dyrektor — stary safandula „składa się” z dwóch namiętności chronicznych — do gimnastyki i gry w Toto-lotka oraz z jednej doraźnej — do służącej Hanki. Matka jest pedagogiem i oddziaływa wychowawczo na męża i córkę. Córka zaś jest „nowoczesna”, wolna tak od ograniczeń środowiska, jak od balastu „przekonań”. Gra ją z wdziękiem i autentyzmem Elżbieta Czyżewska. Natomiast Hanka w wykonaniu Krafftówny wygląda jak tradycyjny garkotłuk o nowoczesnej świadomości. Bo po swojemu wydaje się także krytyczna i także niezależna: nie szanuje państwa i nie zależy jej na „posadzie”. A do tego dochodzą dwaj panowie z zewnątrz: niezdecydowany do ożenku amant córki — dziennikarz i zerżnięty z Pigmaliiona prostaczek, Robert mówiący chuligańską gwara, którym postanowiła się zaopiekować panna, zawiedziona przez dziennikarza i zanudzona przez życie.

A w drugiej części całe to wcale zabawnie pomyslane towarzystwo

zrobiło niespodziewaną woltę. Jak gdyby wszyscy w antrakcie czytali się we Freudzie i zaczęli grać własne kompleksy. Zauważmy, iż większy byłby pożytek, gdyby to nie oni, ale autor przeczytał, i to już na początku sztuki (jeżeli chciał pokazać psychologiczne rozszczepienie jaźni swych bohaterów) — albo niechby zabronił im niebezpiecznych dla obyczajowej konstrukcji lektur. W tym nowym wariacynie „Uczta morderców” traci logiczny kontur fabularny, zyskuje natomiast na genealogii literackiej. Ważny jest jedynie finał, w którym wszyscy postanowili się potruci, jak u Szekspira. Ale się nie potrulili na śmierć, na szczęście umarła tylko córka, która mogła równie dobrze okazać się nieślubnym dzieckiem własnej matki, poczętym z jej stosunku z pięćdziesięciu pięciu autorami sztuk współczesnych i klasycznych. Współczujemy córce, pocieszamy się jedynie świadomością, że „trucizna w kawie” jest pewnie jakąś metaforą, symbolem tych „innych spraw”, że zaś nie wiemy jakich, tedy spokoju nic nam mącić nie musi. Bardzo to ładnie ze strony autora. I humanitarnie.

Wanda Laskowska wyreżyserowała sztukę tak, jak ją napisał autor, uwzględniając wielość konwencji i stylów, natomiast Zofia Pietrusińska zdecydowała się na scenografię nowoczesną. Aktorzy (prócz wymienionych: M. Luczycka — matka, Cz. Kalinowski — ojciec, W. Golas — Robert, J. Magórski — dziennikarz) grali bardzo dobrze, ale z początku jak w komeдії, a potem jak w „Koniu”. A może jak w „Nosorożcu”. Z dziewiętego rzędu trudno było odróżnić detale i dosłyszeć dźwięki.

Andrzej Wydrzyński: „Uczta morderców”, tragedia buffo z trucizną w kawie, przedstawienie w teatrze Dramatycznym w Warszawie